

II/913

Anna z domu Zał... w 1932 r. w Hajewie pow. Wołkowysk, woj. białostockie, w rodzinie ziemiańskiej. W 1939 r. uczęszczałam do szkoły podstawowej.

Wkroczenie Armii Czerwonej było dla Polaków strasznym ciosem. Polskie wsie były też zaszokowane. Część Białorusinów z organizacji komunistycznych utworzyła milicję z bronią w ręku i czerwonymi opaskami na ramieniu. Żołnierzy radzieckich w tym okresie, poza jednym oficerem jak niżej, nie widziałam.

Z odległych wsi białoruskich, skomunizowanych, przyjechali chłopcy, aby podzielić nasz majątek. Zabierali inwentarz, kopali kartofle, aresztowali ojca i trzymali go w areszcie domowym, niezbyt zresztą pilnując i bez specjalnych szykan, gdyż ojciec jako geodeta doskonale znał prawie całe województwo i wogóle był w dobrych stosunkach z ludźmi. Pewnego dnia ojciec wymknął się strażom i pojechał do dowództwa radzieckiego, gdzie przedstawił swoją sprawę, że jest geodetą i część ziemi dokupił za swoją pracę, co przekonało oficera sowieckiego. /Ojciec znał doskonale rosyjski, gdyż studiował w Petersburgu/ Oficer przyjechał z ojcem samochodem i polecił chłopom opuścić dom i zwrócić zabrane mienie, co chłopcy z niechęcią ale wykonali.

Uczyłam się w szkole przez parę miesięcy, dominowało uczucie ogromnego przygnębienia - nawet wśród dzieci.

Została wywieziona cała rodzina mojej Matki, łącznie z dziećmi. Wuj został aresztowany i zginął w więzieniu, nie wiadomo którym, okoliczności nie są znane. Przed wojną był czynnym działaczem społecznym. Wywieziono razem 14 osób. Z tych osób wywiezionych do Kazachstanu 2 tam zmarło - mężczyźni w starszym wieku. Pozostali wyjechali z armią Andersa, do Kraju nikt nie wrócił.

My byliśmy przeznaczeni do wywozu w czerwcu 1941 r. Do tego czasu zabrano nam zboże, bydło, konie za niezapłacone podatki, które były tak naliczane, że nie można ich było spłacić. W czerwcu 1941 r. nie mieliśmy nic do jedzenia, poza kaszą jaglaną, którą ojciec od kogoś

pożyczył. Została nam jedna krowa na osiem osób, bo oprócz naszej rodziny była u nas rodzina, której ojciec zginął w Katyniu a majątek odebrano im we wrześniu 1939 r., tj. gdy tylko Sowieci weszli.

W miarę przedłużającego się pobytu Rosjan Białorusini byli coraz bardziej życzliwi w stosunku do Polaków. Nastroje oscylowały między rozpaczą a nadzieją na wojnę. Trwały codzienne nowenny aby nie być wywiezionymi.

Z 1941 r. pamiętam tylko przejście frontu - Niemcy w kaskach, z karabinami gotowymi do strzału,. Do ludności miejscowej - przynajmniej w kręgu kilku kilometrów - nie mieli pretensji. Wyłapywali tylko Rosjan, często kazali im zdjąć czapkę, aby zobaczyć czy głowa nie ostrzyżona, bo ~~widziano~~ wówczas wojsko rosyjskie nie nosiło długich włosów.

Wejście wojsk rosyjskich w 1944 r. przebiegało nawet w przyjaznej atmosferze lecz już w grudniu 1944 r. nastąpiły masowe aresztowanie Ak-owców. Potem zwykłe uciskanie ludzi podatkami, zmuszanie do kołchozów. W grudniu był aresztowany jako członek AK mój ojciec. Następnie, po krótkim pobycie w domu, został znowu aresztowany i skazany na 10 lat obozu za nie wykonanie planu dostaw /miał wtedy 69 lat/.

W 1952 r. zostałam wywieziona ze szkoły w Wilnie do Kazachstanu jako "członek rodziny kułackiej". W tym czasie moja Matka i Siostra ukrywały się a Ojciec był w 1948 r. przewieziony do Polski, po ciężkiej chorobie w obozie pod Mińskiem na budowie Fabryki Traktorów, w ramach "wymiany więźniów polskich i radzieckich".

Mój wywóz w porównaniu z wywozem z lat 1940-41 był nieomal wycieczką. Do internatu, gdzie mieszkałam / w Wilnie, uczyłam się w szkole przygotowującej nauczycieli do polskich szkół częściowo na "wariackich papierach" / w nocy zjawili się enkawudziści. Po sprawdzeniu mojej tożsamości przeczytał mi jeden z nich, że na podstawie rozporządzenia ministerstwa BSSR podlegam przesiedlaniu. Kazano mi ubrać się i z jeszcze jedną dziewczynką, która również jak i ja przyjechała do Wilna z Białoruskiej Republiki zostaliśmy doprowadzone głęboką nocą do



aresztu. Przez całą noc przyprowadzano tam ludzi, przeważnie kobiety z dziećmi. Jak się później okazało były to rodziny, z których mężowie zostali już wcześniej aresztowani i osądzeni.

Następnego dnia przewieziono mnie i parę innych osób z Wilna, część do Grodna a mnie do Wołkowyska, gdzie mieszkałam poprzednio. Tam załadowano mnie, znowu w nocy, do wagonu. Wagon był z ludźmi, którzy spali. Było ciemno, nikogo nie widziałam, nikt się nie odzywał, ja też nie. Po omacku stwierdziłam, że koło drzwi stoją jakieś beczki, więc siadłam na jednej z nich i przesiadziałam tak, drzemiąc, do rana. Rano zaopekowali się mną wcześniejsi "pasażerowie", dali mi jeść i miejsce na narach. Było dość wygodnie, bo każdy miał miejsce do leżenia. Ludzie przeważnie mieli ze sobą pościel. w wagonie był piecyk, beczka z wodą i kahałek zastępujący toaletę. Ludzie obwieszali to miejsce kocami aby zachować intymność tych czynności ale i tak w dzień nie zdecydowałam się skorzystać z tej "toalety".

Do Moskwy pociąg z zesłaneccami, składający się z kilkudziesięciu osób jechał bez przerw, na południe od Moskwy, na stacjach, gdzie zatrzymywał się pociąg było przygotowane jedzenie: zupa i kasza, chleb. Pod strażą chodziliśmy po wodę. Po dwóch tygodniach wyładowano nas na stacji Wielikaja Aleksiejwka w Kazachstanie. Stąd ciężarówkami rozwieziono nas do kołchozów, do uprawy bawełny, "białego złota" Kazachstanu. Tam musieliśmy pracować w polu, co miesiąc podpisywać "listę obecności" w komendanturze, nie owłno nam się było wydalać z kołchozu bez przepustki. Po śmierci Stalina zniesiono to ograniczenie, można było dostać pracę zgodnie ze swoim zawodem.

Do Polski przyjechałam na zaproszenie ojca, które nie byłoby nigdy uwzględnione, gdyby nie repatriacja. Ojciec starał się o mój przyjazd od 1952 r. a ja przyjechałam dopiero w 1956.

W Polsce, ponieważ miałam tu Ojca i Brata aklimatyzacja przebiegała już szybko. Pracę dostałam po dwóch tygodniach, stosunek ludzi był bardzo życzliwy. Jednak w jakimś sensie mój stosunek do życia był

inny, była jakaś granica mieszkanymi na stałe w Gdyni a mną. Została we mnie na zawsze radość z powrotu i zadowolenie z tego co mam, w związku z tym mniejsze wymagania w sferze materialnej. Zabito we mnie inicjatywę. Po powrocie z ZSRR nieomal jak żebraczka nie miałam już chęci do dorobienia się jakiegoś choćby mini-majątku. Nie przywiązuję wagi do spraw materialnych.

W 1980 roku poczułam przypływ energii i chęć do działania społecznego ale 13.XII. 1981 pogrążył mnie na dłuższy czas w rozpacz. Teraz wróciłam do równowagi ale nie mam wielkich nadziei na zmianę naszego życia.